



Podstępna schizofrenia

Karolina Kasprzak-Dietrich

Podstępna schizofrenia

Karolina Kasprzak-Dietrich

Copyright by Karolina Kasprzak-Dietrich 2021

ISBN: 978-83-968106-3-2

Wydawca: Karolina Kasprzak-Dietrich

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie II 2023

Tę książkę dedykuję mojemu tacie. Był mistrzem zduńskim i mistrzem w tym, co robił. Opisana historia jest fikcją i nie ma absolutnie nic wspólnego z moją rodziną.

Tato, Kocham Cię i tęsknię.

Przeczesałem rozwartymi palcami mocno przerzedzone włosy. Z dnia na dzień coraz bardziej lysiałem. Miałem wrażenie, że mam na głowie zaledwie kilkanaście włosów, niegdyś czarnych jak smoła, dziś wyblakłych problemami. Spojrzałem w lustro. Sińce pod oczami zakreśliły podkowy, które nachodziły na połowę policzka. Kąciki ust wyraźnie opadły. Wychudłem, moje uszy nagle zrobiły się odstające, a nos szpiczasty. Wystarczy niecały miesiąc, by człowiek zmienił się we wrak. Sarkastycznie się do siebie uśmiechnąłem, może nie do siebie, może do kota. A może do pulpitu komputera, ikony zbliżają się do mnie i oddalają, przy tym kręcą się w kółko jak karuzela, i to chyba najbardziej mnie śmieszy. Jestem jak naćpany.

Otwieram szufladę, wyjmuję z niej opakowanie Tranxene 1 i Xepion – silny lek. A jednak mnie nie pomaga. Wciąż mam koszmary, słyszę głosy, zwłaszcza krzyk i płacz kobiety. Gdy krzyczę, by już sobie poszły, nagle głosy cichną i zaczynają nucić melodię. Mam wrażenie, że oszalałem. Wyjmuję z opakowania dwie tabletki i popijam wodą mineralną.

– Zamknij się! – krzyczę do białej ściany. To stamtąd dobiegają głosy. Nadal nucą tę melodię. – Zamknij się! – krzyknąłem jeszcze głośniej.

Głosy nie przestają nucić, a ja dodatkowo słyszę pukanie w kaloryfer. Sąsiadka z dołu daje mi znak, że jestem stanowczo za głośnie. Mam ochotę zejść piętro niżej i jebnąć ją w ryj. Mruczuś, mój kot,

schował się pod tapczan. Wiem, że to chwilowe, za moment spod niego wyjdzie i położy się na swoim kocyku.

Zbyt długi, poźółkły paznokieć wywiercił w mojej skarpecie dziurę i prosi się o ścięcie. Wiem, że pozostałe dziewięć wygląda podobnie. Nie mam ochoty chwycić za cążki, by je skrócić. Boję się trzymać w dłoni ostre narzędzie, boję się, że zrobię sobie krzywdę.

Zachorowałem i nikt nie może mi pomóc. Moją chorobę uparcie ukrywam, zwłaszcza w pracy. Koledzy policjanci nie mogą się dowiedzieć. Inaczej szef oddali mnie ze służby, skieruje na zasiłek chorobowy, a po nim na wcześniejszą emeryturę. Nie chcę, MUSZĘ pracować, urodziłem się psem.

Potrafię wyobrazić sobie komentarze kolegów, znajomych, gdy się zorientują. „Czubek”, „chory”, „schizofrenik”.

Białem się iść w tłum, żeby tego nie słyszeć. Na razie ukrywam się w swoim niewielkim mieszkaniu, czekam, aż choroba odpuści.

„Biedny, to z samotności sfiksował”. Moja wyobraźnia sprawiła, że miałem ochotę wyrwać sobie resztkę włosów. Dziewczyna-widmo, która zazwyczaj nuci, jakby się zlitowała, bo ucichła. Czuję, że przy mnie usiadła.

– Spierdalaj stąd, daj mi spokój. – Staram się szeptać, żeby sąsiadka znowu nie zapukała w kaloryfer.

Mimo mojej wulgarnej prośby nadal przy mnie siedzi. Wstaję z kanapy i sprzedaję jej solidnego kopniaka. Kopię z taką siłą, że mój paznokieć, zderzając się z drewnianą obudową, pęka na łożysku, leje się krew. Zwinąłem się z bólu w rogalik, położyłem się na podłodze, schwyciłem za palec. Widok krwi spowodował, że na moment straciłem przytomność.

Kiedy się obudziłem, na moim brzuchu leżał Mruczuś. W pokoju byliśmy tylko my, dziewczyna odeszła. Ale może tylko na chwilę, może dlatego, że postanowiła mi się przyśnić. Pamiętam ten sen. Niczego nie pamiętam tak bardzo jak nawiedzające mnie od miesiąca sny. Są takie wyraźne, takie realne, uważam, że tak to było. Tak potoczyły się losy tej zamordowanej przed miesiącem dziewczyny. Nikt mi nie wierzy, komendant stuka się w czoło, gdy mu o nich opowiadam. Wszystko muszę trzymać w sobie, sam to przetrwać. Czuję, że się kończę. Zamykam oczy, przed oczami kolejny raz pojawiają się obrazy z mojego snu.

Dwoje ludzi na motorze, kierowca ubrany w czarną skórzaną kurtkę wysadzaną ćwiekami i w czarne spodnie ze skóry. Prowadzi motor, kurtka jest przyciasna, unosi się lekko na nerkach, wylania się skrawek białej koszulki i czarny, gruby pas. Nie widzę go z przodu, ale wiem, że ma masywną kłamrę z napisem „Driver”.

Ma dość wysokie, masywne buty, ćwieki błyszczą w słońcu. Ogromny, połyskujący kask, podobny ma pasażerka, choć może ciut za duży. Jednak twardo siedzi na motorze i kurczowo trzyma się kurtki kierowcy. W pewnym momencie unosi prawą rękę, jakby była szczęśliwa, że dorwała taką okazję. Odjeżdżają z piskiem opon.

Ona jest tą szczęśliwą pasażerką. Ta dziewczyna, która mnie natchodzi. Która mi śpiewa i przeszkadza mi żyć. Nie jest ubrana typowo na motor. Ma czarne trampki i czerwone lateksowe spodnie. Czarna bluza z kapturem, z którego wychodzą długie blond włosy. Jest bardzo szczupła, ale wysoka. Widzę, że gdzieś jadą gładką jak tafla wody szosą. Kierowca zwiększa prędkość, a dziewczyna się do niego jeszcze bardziej przytula, jakby się przestraszyła tak szybkiej jazdy. Skręcają w polną drogę, wjeżdżają w las. Schodzą z motoru, śmieją się, żartują. Nie widzę twarzy kierowcy, ale jej twarz dostrzegam wyraźnie. I wtedy kierowca z jakiejś solidnej, skórzanej torby, zaczepionej z tyłu

motoru, wyciąga ręczną piłę z czerwonym uchwytem. Słyszę krzyk, budzę się zlany zimnym potem. Noc w noc mam ten sam sen, dodatkowo ta zamordowana dziewczyna nachodzi mnie też w ciągu dnia.

Wstałem z podłogi, leki chyba zaczęły działać, bo czuję się, jakbym był w innym wymiarze. Moje ruchy są powolne, jestem jakby zaprogramowany. Jakby ktoś mną sterował. Jak robot sięgam po czajnik, nalewam wody, włączam gaz. Chce mi się pić. Spoglądam na kalendarz. Dziesiąty października, niecały miesiąc temu doszło do tragedii. A ja cały czas jestem w rozsypce. Gdybym wtedy nie dojechał na miejsce zbrodni, gdybym tego nie widział, być może byłbym zdrowy i normalnie funkcjonował.

Mruczuś kręci się pod nogami, pierwszy raz w życiu go odtrąciłem. Nie mam ochoty na czułości, jestem wściekły na cały świat. Zachorowałem i nie mogę pracować nad tym śledztwem.

– Ostatni tydzień! – zaklinam. – Ostatni tydzień urlopu! – pomstuję dość głośno. – Od poniedziałku wracam do pracy! – Chociaż wiedziałem, że być może nie dotrzymam słowa.

Znowu do mnie przyszła, jest bezczelna. Uczepiła się mnie jak rzep psiego ogona. Nuci tę swoją melodię. Jest środek nocy, szczypią mnie oczy, nie mogę zasnąć, by wypoczęły. Kolejne nasenne tabletki przepisane przez kolejnego lekarza nie pomagają. Sam już nie wiem, czy częściej zmieniam leki, czy lekarzy. Nic ani nikt nie może mi pomóc. Zaczęło się od zwykłej depresji, a skończyło?

– Odejdź – rozkazuję jej.

Nie słucha, stoi w kącie mojej sypialni i nie przestaje nucić. Nie znam tej piosenki. To znaczy może gdzieś ją słyszałem, ale nie pamięć-

tam słów. Jestem wkurwiony, moja złość potęguję się z sekundy na sekundę. Kot schował się pod kanapę, boi się, że i tym razem obezwładni mu się za nic. Wszystko mnie swędzi, trzęsę się. Jest mi zimno i gorąco zarazem. Jestem chory na schizofrenię depresyjno-maniacką. Kiedy lekarz postawił mi diagnozę, miałem ochotę umrzeć. Nie potrafię normalnie funkcjonować, wiedząc, że już nigdy nie wyzdrowieję. Zaczynam się bać ludzi, przedmiotów, mam wrażenie, że wszyscy już o tym wiedzą. Kiedy wychodzę rano po chleb, słyszę, jak ludzie, których mijam, mnie obgadują, śmieją się ze mnie. A jak się nie śmieją, to szyderczo podśmiechują.

Widzę ich pełne pożałowania spojrzenia, litość.

„Proszę się nie przejmować, z tą chorobą można żyć, schizofrenia to nie koniec świata” – zapewniał nowy lekarz, jakiś Turek. A z drugiej strony: „Schizofrenii nie można wyleczyć, jedynie zaleczyć, musi się pan liczyć, że długo wyczekiwana remisja nie potrwa wiecznie” – poinformowała mnie nowa psychiatra w rejonie.

Ja nie chcę mieć tej choroby, urodziłem się zdrowy na umyśle, nie chcę chorować, nie na to! Zasłaniam sobie oczy dłońmi, mimo że jest noc, a w kuchni ciemno. Warczę jak stary traktor. Ta dziewczyna nic sobie z tego nie robi, cały czas jest przy mnie, nuci tę idiotyczną melodię, a jeśli odchodzi, to tylko na moment.

– Szmato, odejdz! – wrzeszczę do sufitu, kiedy już wytarłem oczy i przetarłem niesfornymi dłońmi twarz. – Słyszysz?! Odejdz!

Nie słucha mnie, stoi twardo jak kamień. Biorę kolejne tabletki, tym razem Afobam. Mam nadzieję, że pomogą, a nie uzależnią.

Dwie tabletki Afobamu nie pomogły, nadal nie mogę zasnąć. Trzęsą mi się ręce. Wstaję za potrzebą, idę do łazienki. Stanąłem nad białym sedesem. Osikałem klapę i się z tego śmieję. Jestem chory,

więc mogę. Dziewczyna stoi za moimi plecami i śmieje się razem ze mną. Odwracam się na pięcie, chcę ją uderzyć. Biję powietrze. Przewracam się na zimne płytki, leżę z ryjem wciśniętym w podłogę, nawet nie podciągnąłem majtek, zasnąłem. Znowu mi się śniła. Znowu błysnęła w słońcu metalowa piła.

Kolejny, trzeci miesiąc, a ja cały czas jestem na zasiłku chorobowym, w pracy tłumaczę się tym, że mam niezły żołądek. Szef chyba mi wierzy i jakby się cieszył, że odpoczywam. Może nie zna się na symbolach wpisywanych przez lekarzy na zwolnieniach. A może się zna i z litości tego nie komentuje.

Namawia mnie na dalsze chorobowe, ale wiem, że to ostatni tydzień. Jak najprędzej chcę wrócić do pracy, mój nowy lekarz twierdzi, że stan mojego zdrowia znacznie się poprawił, że mogę. Zaznaczył, że muszę być pod jego kontrolą, ale mogę pracować. Tak naprawdę nikt nie może mi pomóc. Zmieniam lekarzy jak rękawiczki, a oni są bezsilni. Przyczynę choroby próbują zrzucić na moje dzieciństwo, uważają, że było nieszczęśliwe. Dziwne jest to, że ja nigdy tak go nie postrzegałem.

Nieraz miałem ochotę pokłócić się o to z lekarzem. Słuchałem ich śmiesznych wywodów, łączyli wątki, szukali punktu zaczepienia. Przytakiwałem, choć się we mnie gotowało. Banda nieuków, tak myślę. Jedno nas łączy – wszyscy czekamy na moją remisję, ale ta dziewczyna wciąż mnie nachodzi, nie przestaje. Przez ostatnie trzy miesiące codziennie mnie odwiedza. Może tylko raz jej nie było, ale ten dzień, kiedy nie przyszła, cały przespałem. Więc sam już nie wiem. Może dlatego jej nie czułem, nie słyszałem, nie pamiętałem, co mi się

śniło. A może dlatego, że miałem tego dnia apogeum zmęczenia, na domiar złego z roztargnienia zapomniałem wziąć leki. To był jedyny dzień, w którym się nie pojawiła.

Pół roku później

Lato za pasem, źle znoszę tę porę roku, wkurzają mnie ćwierkające ptaki, zielone, smarkate liście i złote słońce. Ono też mnie denerwuje, razi mnie po oczach. Ale jeszcze gorsza była jesień. Smutno, szaro i monotonnie. Nic mnie nie cieszy, nie potrafię już czerpać radości z tego, co tę radość kiedyś mi dawało. Moje życie ogarnął marazm.

Siedzę w gabinecie lekarskim, spoglądam na nowego lekarza, zastanawiam się, o czym myśli. Czyta moją kartę i kręci nosem. Odbieram to jako wyrok! Spojrzał na mnie, zza grubych okularów jego spojrzenie wydaje się srogie. Ostatnio wiele rzeczy mi się wydaje, więc nie mam prawa go osądzać. Nie wiem, czy moja percepcja kolejny raz nie płata mi figła. Nowy psychiatra, to i nowe odczucia. Tamta brunetka, lekarz psychiatrii Iwona Gnaj, była nad wyraz miła, ale nie potrafiła trafić z lekami, więc z polecenia wyłądowną w Poznaniu. Wizyta trzy stowy, opinie w internecie pozytywne, a przede wszystkim większa anonimowość. Kiedy chodziłem do lekarza w Gnieźnie, najbardziej obawiałem się, że ktoś znajomy zobaczy mnie w poczekalni. Nie mogłem sobie na to pozwolić, jeszcze ktoś szepnąłby na ucho szefowi, kolegom z pracy i pozamiatane. Byłbym spalony na

całej linii. Jurek Nitras, mój szef, ze swoim profesjonalizmem nie zleciłby mi już żadnego poważnego śledztwa. A ja musiałem pracować, tylko to trzymało mnie przy względnie zdrowych zmysłach.

– Dobrze, panie Robercie Nowicki? Dobrze przeczytałem? Nowicki czy Nowacki? – Spojrzał na mnie pytająco.

Chciałem mu odpowiedzieć, że to mało ważne. W dupie miałem, jak wypowiada moje nazwisko, czy je przekręca, czy mówi poprawnie.

– Nowacki! – odpowiedziałem z uśmiechem, żeby nie zdradzić swoich myśli. Byłem przyzwyczajony do tego typu pytań.

– Wiek?

– Trzydzieści dziewięć lat.

– Zawód?

– Policjant.

– Ile lat na służbie? – pytał jak zaprogramowany.

Czułem się jak na przesłuchaniu.

– Czternaście. Ukończyłem studia i wstąpiłem do policji. Mój świętej pamięci ojciec był policjantem. To i ja o tym marzyłem, z tym że moja mama mi odradzała. Bezskutecznie, jak widać. Rodzice już nie żyją. – Czułem, że z moich ust leci w kierunku pana psychiatry sałatka słowna. Zauważyłem to, patrząc na jego jeszcze bardziej, здавало mi się, srogi i zarazem karcący wzrok.

– Powoli. – Uniósł rękę nad biurkiem.

– Jasne. Przepraszam, to chyba przez te niedobre leki.

– Dojdziemy do tego. – Próbował mnie uspokoić, pomagał mu w tym spokojny gest ręki. – Od kiedy słyszy pan głosy?

– Od pół roku. Od tego wypadku. Morderstwa – poprawiłem się. – Od momentu, kiedy dostałem wezwanie do miejskiego lasu. Leśniczy słyszał krzyk kobiety. Zadzwoił na sto dwanaście i padło

na mnie oraz kolegę z pracy, mówię na niego Kozica. Zajechaliśmy tam, zobaczyłem, co zobaczyłem, i od tego momentu zachorowałem.

– Ten Kozica... To tylko kolega czy przyjaciel?

– Przyjaciel.

– Macie dobry kontakt? Rozmawiacie o tym, co ujrzeliście wtedy w tym lesie?

– Mieliśmy bardzo dobry kontakt, ale on od tamtego momentu jest nieświadomy. Zemdlał na miejscu zbrodni, okazało się, że miał udar. Nie mam z nim kontaktu, nikt nie ma. Leży w szpitalu niczym kłoda. Nie reaguje na żadne dźwięki, głosy, masaż. Ja na szczęście nie straciłem kontaktu z rzeczywistością, ale chyba powoli tracę. Może w inny sposób. Cały dzień, a nawet w nocy – te głosy! Muzyka! Mam wrażenie, że świruję. To coś nie odpuszcza.

– Bierze pan regularnie lekarstwa?

– Staram się, ale czasem zapominam.

– Nie może pan zapominać, może właśnie dlatego cały czas pan to słyszy.

– Postaram się pamiętać – zapewniam lekarza. Dręczą mnie jego pytania, wydają mi się wyuczone na pamięć.

– Mogę zlecić panu leki długo działające. Dawka podawana przez iniekcję starcza na około miesiąc, dwa. Wtedy nie musiałby pan pamiętać. Może tym samym szybciej wróci pan do zdrowia psychicznego. No chyba, że boi się pan zastrzyków?

– Nie, skądże, nie boję się. Możemy spróbować, chcę być zdrowy – oświadczam twardo.

– Zrobię, co w mojej mocy. Muszę tylko jeszcze zadać kilka pytań, przeprowadzić z panem wywiad.

– Słucham. – Siedzę jak na gwoździach, wiem, że za moment będę musiał odpowiadać na bardzo niewygodne dla mnie pytania. Że znowu przewierci mi przeszłość. Jest mi słabo z niemocy.

– Czyli mimo terapii i mimo zapisanych leków nadal słyszy pan głosy?

– Tak.

– Czy jest coś jeszcze w pana zachowaniu, co by pana niepokoiło? Halucynacje, może ktoś pana śledzi albo czuje się pan kimś innym? Jakąś ważną osobą. Politykiem na przykład? Rosyjskim agentem?

– Nie, jeszcze nie! Tylko te głosy, ta dziewczyna. Nuci tę piosenkę, ale jej nie śpiewa, tylko nuci.

– Co to za melodia?

– Nie wiem. Nie mogę sobie przypomnieć, ale znana.

– Wesoła, smutna?

– Raczej wesoła.

– Rozumiem. – Lekarz cały czas notował w karcie. Spoglądał na mnie w międzyczasie, ale nie przestawał zapisywać drobnym maczkiem tego, co usłyszał. Na domiar złego nadal zadawał pytania. – Jak często słyszy pan głosy? Raz dziennie, kilka razy?

– Kilka razy dziennie. Czasem to mam wrażenie, że nie opuszcza mnie na krok. Głos jednej dziewczyny, najprawdopodobniej tej zamordowanej. Młody, ładny, wesoły... Lubię jej słuchać, ale to przeszkadza mi w pracy.

– Panie Robercie, o tym morderstwie, które pan odkrył w lesie, za moment porozmawiamy. Chciałbym teraz wrócić do pana wczesnych lat dzieciństwa. Jakie było? Ma pan rodzeństwo?

– Jestem jedynakiem. Mój ojciec zostawił matkę, jak dowiedział się, że ta choruje na stwardnienie rozsiane. Założył nową rodzinę, ale ze mną nie przestał się kontaktować. Dbał o mnie,łożył na studia. Nie mam mu nic do zarzucenia.

Lekarz spojrział jakby z litością.

– Ile miał pan lat, kiedy dowiedział się o chorobie matki?

– Dziesięć. Wchodziłem w trudny wiek, a jednak poradziłem sobie z problemem. Niejednym.

– Niejednym? – Zmrużył oczy.

– Od urodzenia cierpię na takie specyficzne schorzenie. Lejkowata klatka piersiowa. Jest zapadnięta na wysokości mostka. W moim przypadku nie dużo, ale ja to wiem. Zawsze mnie to krępowało, do dziś krępuje. Mam z tego powodu sporo kompleksów. Nie potrafiłbym się rozebrać przed dziewczyną.

– Jest pan samotny?

– Tak.

– Kto opiekował się mamą?

– Jej siostra z nami mieszkała. Mama nie chciała iść do domu opieki, ja też nie wyraziłbym zgody. Kiedy miałem piętnaście lat, sam się opiekowałem mamą.

– A szkoła?

– Dałem radę. Skończyłem studia. Tylko życia towarzyskiego nie miałem. Wiem, że każdy lekarz dopatruje się w tym mojej choroby, już to przerabiałem. Ale ja nie czułem się nieszczęśliwy. Cieszyłem się, że jestem potrzebny, że mama mnie potrzebuje, że jej pomagam. Może pod koniec jej życia ogarnęły mnie zmęczenie i smutek, kiedy z dnia na dzień było coraz gorzej.

– Kiedy zmarła pana matka?

– Kiedy byłem na pierwszym roku studiów.

– Co pan wtedy czuł?

– Smutek, żal do całego świata.

– Coś jeszcze?

I wtedy, myśląc, że mi pomoże, po raz pierwszy się otworzyłem. Postanowiłem powiedzieć prawdę.

– Bardzo obwiniałem się za jej śmierć.

Zdziwił się.

– Dlaczego? – zapytał.

– Bo podświadomie jej tego życzyłem. Z podopiecznego stałem się opiekunem. Kochałem matkę mimo to. Opiekowałem się nią z uporem godnym sprawy. Mojej mamie nigdy niczego nie brakowało, ale gdzieś tam byłem na nią o to zły. Musiałem rezygnować i cały czas tylko rezygnowałem.

– Chodzi panu o przyjemności?

– Dokładnie. Ale może mi wcale nie o to chodziło, może to tylko presja otoczenia. „Chodź na imprezę”, „zabawimy się”, „masz przejebane z tą matką”. Wcale nie chciałem imprezować, ale... Sam już nie wiem, co chciałem powiedzieć.

– Mama umarła na stwardnienie? – Klikał długopisem i lustrował mnie wzrokiem.

– Nie, na to się nie umiera, z tym się żyje i zabiera życie innym. Mama umarła na raka.

– Nie musiał pan brać na siebie tego obowiązku.

– Wiem, ale urodziłem się z etykietą inteligentnego dziecka. Chciałem!

– Od kiedy pojawiło się u pana toksyczne przekonanie, że jest pan winny śmierci matki?

– Jakiś miesiąc po jej śmierci. Wcześniej czułem ulgę i smutek zarazem.

– Rozumiem. Ale wtedy nie słyszał pan tych głosów?

– Nie! One pojawiły się przed kilkoma miesiącami. Zaraz po tej zbrodni. W tym lesie, na pewno pan słyszał. Dziewczyna pocięta ręczną piłą, do białej kości. Poszarpana skóra, oddzielona od mięśni. Mięśnie oddzielone od kości, pocięte żyły, kałuża krwi. Nigdy nie zapomnę tego widoku.

– Słyszałem i niezmiernie mi przykro, że był pan świadkiem tego zdarzenia. Jest pan policjantem, to chyba taka konieczność. Gdyby każdy policjant... – Zamilkł, ale ja wiem, co chciał powiedzieć.

– Tak... Chciał pan powiedzieć, że tak czy siak mam predyspozycje do zaburzeń.

– Nie to chciałem powiedzieć. Raczej chciałem namówić pana na zmianę profesji. Ile jeszcze zostało panu do zasłużonej emerytury?

– Rok.

– Proszę o tym pomyśleć.

– Nie dam rady, kocham swoją pracę. – Mam ochotę dzielić go w mordę za te pozał się Boże porady.

– Z tego, co wiem, sprawca cały czas jest na wolności, prawda?

– Tak, prokurator umorzył śledztwo z braku dowodów. Ale ja jestem pewien, że gdyby śledztwem zajęli się odpowiedni ludzie, to zbrodniarz zostałby schwytany. To jest karygodne, żeby taki człowiek cały czas był na wolności, żadnych świadków, żadnych śladów. A ja tam byłem, skrawki jej skóry oblażyły moje dłonie, jej żyły na przemian z włosami plątały się pomiędzy moimi palcami. Nikomu nie życzę takiego widoku. Czasem myślę, że to był jakiś koszmar albo dobry horror, który obejrzałem w kinie. Ale to się wydarzyło, rozumie pan! – Nie czułem, że zaczynam krzyczeć.

– Panie Robercie, powoli i ciszej, widzę, że znowu potok słów. Proszę nie podnosić głosu.

Nawet nie słyszałem samego siebie, ale naprawdę głośno mówiłem. Jakbym chciał się wytłumaczyć za swoją chorobę, że to nie moja wina. A już na pewno nie przeżyć z dzieciństwa.

– Przepraszam. Najgorsze jest to, że z Kozicą nie ma żadnego kontaktu, nie mam kumpla. Jedyne, któremu ufałem. Jestem w rozsypce.

– Zrobimy tak: zwiększymy dawkę leku. Proszę nie zapominać: już nie pół tabletki rano i wieczorem, tylko całą rano i wieczorem. Do tego pozostawimy leki, które zażywał pan wcześniej. Bo z tego, co pan powiedział, bez Afobamu nie może pan normalnie funkcjonować.

– Tak, jestem od niego uzależniony.

– To się zdarza, jednak radziłbym powoli odstawić. Jeżeli nowy lek nie pomoże lub będzie pan o nich zapominał, jak najszybciej wdrożymy iniekcję.

– Myśli pan, że pomogą? – zapytałem trochę łagodniej.

– Innym pomagają. Zapraszam pana za tydzień. Proszę myśleć pozytywnie.

– Postaram się. Co mi pan radzi? – pytam na odchodne.

– Dużo snu, terapia dzienna, może sanatorium. Odpoczynek. Zero używek, nawet coca-coli. Nie działa dobrze na psychikę, podobnie jak papierosy, kawa i alkohol.

– Terapia dzienna? – zapytałem z pogardą w głosie. – Kiedy w pracy się dowiedzą, nie będę miał życia.

– To nikt nie wie o pana problemach zdrowotnych? – zapytał zdziwiony.

– A powinien?

– Jeżeli nie stanowi pan zagrożenia dla siebie ani dla otoczenia, to nie. Jedyne choroby, o których trzeba poinformować przełożonego, to choroba alkoholowa i padaczka. Z tym że może byłoby panu łatwiej, gdyby inni wiedzieli.

– W czym łatwiej? Pograżyliby mnie jeszcze bardziej, nie zna pan psychologii tłumu?

Pokiwał głową na znak, że mnie rozumie.

– Proszę być silnym. Proszę się obserwować.

– Jeżeli te tabletki mi pomogą, to czy te głosy, ta melodia, staną się dla mnie niesłyszalne?

– Zobaczymy. Na ten moment nic nie mogę panu obiecać. Porozmawiamy o tym przy okazji kolejnej wizyty. Powodzenia.